



Z dziejów kasztanowca.

Wiadomo, iż najpospolitsze rzeczy najmniej zwracają naszą uwagę i najmniej są nam znane. Oswajamy się z nimi tak bar-

dzo, iż przestają nas zajmować i nie przychodzi nam na myśl zapytać się, skąd się one właściwie wzięły. Tak stało się między



KASZTANOWIEC W BUDZISZOWICACH, POW. PINCZOWSKI.



innemi i z jednym z najpospolitszych drzew, pielęgnowanych po wszystkich niemal u nas parkach, ogrodach, nawet po drogach, t. j. z kasztanowcem (*Aesculus*), fałszywie u nas zwanym kasztanem.

Drzewo to, o krzepkim, majestatycznym pniu, który dochodzi niekiedy do 1 metra i więcej nawet średnicy, rosnące nadzwyczaj szybko, pokryte cienią, w późniejszym wieku popękana korą, wydaje gałęzie, kierujące się z początku ku dołowi, później podnoszące się ku górze; wyższe gałęzie rosną poziomo lub niekiedy również ku dołowi, tworząc wraz z liśćmi wielką owalną i gęstą bardzo koronę. Któż nie zna długoogonkowych, przeciwległych, dłoniasto-złożonych, 5 do 9 listkowych, ząbkowanych liści tego drzewa, jego białych, blado-żółtych lub czerwonych kwiatów, zebranych w grona, a pojawiających się w maju, jego zielonych, kolczastych owoców, stanowiących mięsiste torebki, pękające na 3 części i zawierające piękne, duże nasiona, pokryte brunatną, lśniąca skórka, a kryjące w sobie duży, biały zarodek.

Naukowa nazwa tego drzewa pochodzi od wyrazu *esca* — pożywienie; była ona stosowana pierwotnie do pewnego gatunku dębu, potem niewłaściwie zastosowano ją do kasztanowca. Najważniejszym gatunkiem tego drzewa jest kasztanowiec koński, czyli kasztan gorzki (*Aesculus Hippocastanum*), nazwany tak dla tego, iż Turcy mieszają podobno mąkę, otrzymywaną z jego ziarn, do paszy końskiej. Znamy jednak poza tem 13 innych gatunków tego rodzaju, zaliczanego do rodziny kasztańcowatych. Rosną one w Europie, Ameryce Północnej, Nowej Grenadzie, Meksyku, w Himalajach, Persyi, Indiach i na półwyspie Malakka.

Usilne a wielokrotne starania wyzyskania własności tego drzewa do celów praktycznych, nie osiągały żadnego rezultatu i dotychczas całe znaczenie swe kasztanowiec zawdzięcza tylko temu, iż jest pięknem, ozdobnym, rozłożystem drzewem, dającym przyjemny cień i z tego tylko powodu tak powszechnie bywa hodowany.


Rzecz dziwna, iż pomimo całej jego okazałości, zmuszającej do zwrócenia uwagi na to piękne drzewo, pomimo, iż umiało sobie

zyskać uznanie we wszystkich krajach w stosunkowo szybkim czasie, gdyż w ogrodach Europy znane jest od 300 mniej więcej lat, o ojczyźnie jego jeszcze przed kilkunastu laty nic stanowczego powiedzieć nie umieliśmy. Pierwsza wiadomość podaje, jakoby drzewo to zostało przywiezione z Konstantynopola lub z Indyi około r. 1550. Linneusz podaje również rok 1500, a du Hamel r. 1615.

W każdym razie, zarówno te, jak i późniejsze wiadomości przypisywały temu drzewu pochodzenie poza europejskie. To przypuszczenie utrzymywało się do ostatnich niemal czasów. W braku stwierdzonych faktów wskazywano, jako ojczyznę kasztanowca nieokreślony jakiś „daleki wschód“. Zwłaszcza, gdy przekonano się, iż dopiero po zdobyciu Konstantynopola przez Turków, kasztanowiec osiedlił się na wybrzeżach Bosforu, odsuwano mniemaną ojczyznę jego coraz dalej ku wschodowi, do Azji Mniejszej, Persyi, Iranu, Indyi, Tybetu, jakkolwiek w krajach tych kasztanowiec bynajmniej dziko nie rośnie. Z czasem wzięto w podejrzenie nawet góry Altajskie, a w końcu i bezbrzeżne przestrzenie Chin, szukając zakątka, któryby mógł dać świadectwo pochodzenia temu obcemu przybyszowi bez ojczyzny. A tymczasem dziki kasztanowiec tak daleko poszukiwany, żył w ukryciu w niezbyt odległym od nas sąsiedztwie.

Stwierdzoną obecnie z zupełną pewnością ojczyznę kasztanowca są dzikie urwiska i przepaście pasmowzgórzy, rozciągających się w północnej Grecyi, w Macedonii, Epirze i Tessalii, skąd w każdym razie został przez Turków sprowadzony do Konstantynopola, jako drzewo ogrodowe. Pierwszy znalazł kasztanowiec dziko i gromadnie rosnący w lasach północnej Grecyi i Macedonii profesor botaniki w Atenach, M. Orphanides. Widocznie, drzewo to znalazło tu schronienie przed zimnem w czasie epoki lodowej. Przedtem było ono prawdopodobnie rozprzestrzenione w całej Europie środkowej, o czem świadczą charakterystyczne jego owoce, znajduwane w pokładach węgla brunatnego.

Dziwnem się wydaje, iż narody starożytne, zwłaszcza Grecy, drzewa tego nie znali, nie znajdujemy bowiem o niem najlżejszej



wzmianki w całej literaturze klasycznej Greków. Nie sposób przypuścić, aby tak okazałe i piękne drzewo nie zwróciło uwagi starożytnych, gdyby w owym czasie rosło w miejscach dostępniejszych. Pierwszy drzewo to opisuje dopiero w 1565 r. botanik włoski, Matthiolus, który otrzymał gałązkę kasztanowca od Busbecka, ambasadora Ferdynanda I w Konstantynopolu, podając zarazem rysunek tej gałązki. Matthiolus podaje, iż Busbeck przywiózł nasiona do Konstantynopola, skąd późniejszy poseł austriacki, Dawid v. Ungnad, przysłał je do Wiednia na ręce dyrektora ogrodu dworskiego, Karola de Lecluse, sławnego wówczas profesora botaniki w uniwersytecie lejdeńskim, który je też w Wiedniu zasadził. Do Francji wprowadzono to drzewo dopiero w r. 1615, w którym ogrodnik Bachelier zasadził je w ogrodzie klasztoru zakonu maltezyńskiego w Paryżu, gdzie rosło jeszcze w r. 1791, gdy Konwent rozkazał ogród ten zniszczyć i zamienić na pole kartoflane. W Anglii zjawia się kasztanowiec dopiero w r. 1833.

Dziwnym trafem oddzielne egzemplarze kasztanowca związane są w różnych miejscowościach ze wspomnieniami o kraju naszym. W r. 1884 widziałem w m. Jenisejsku, w Syberii wschodniej, na wzgórku ponad rzeką przy przewozie niewielki egzemplarz kasztanowca, mogący liczyć około 50 lat, z zawieszonym wysoko na pniu małym obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej; o ile wiem, w całej okolicy tamtejszej kasztanowiec nie rośnie. Drzewo to częścią pnia wrosło w małą drewnianą a starą bardzo przybudówkę domu, mieszkańcy tamtejsi nazywali „arszawskij posieleniec“ (zesłaniec warszawski), opowiadając, iż jeszcze przed 10-ciu laty, zamieszkały w tej przybudówce zesłaniec polski, mogący mieć około 70-ciu lat, który podobno sam to drzewo sadził, codziennie klęczał przed niem, zwrócony twarzą na zachód, odmawiając modlitwy. W r. 1895 widziałem również w m. Westerlandzie, na wyspie Sylcie (Sylt), leżącej na morzu północnym na zachód od Danii, niewymownie ubogiej w roślinność wogóle, a zwłaszcza w drzewa, skarłowaciałe drzewko kasztanowca, rosnące wraz z 3-ma innymi podobnymi w jednym w tem mieście małym ogródku przy jednym z hotelów (Hamburger Hof), za-

sadzone podobno również przez Polaka, jako pierwsze drzewo na tej wyspie i dlatego zwane „Polnischer Baum“.

Sławnym jednak był historyczny kasztanowiec, zasadzony, jako drugi wogóle egzemplarz tego drzewa we Francji, w r. 1635, w Palais Royal w Paryżu przez kardynała Richelieugo. Pod zielonem sklepieniem gałęzi i liści tego drzewa odbywały się burzliwe zebrania prywatnych polityków paryskich, na których roztrząsano sprawy żywotne, poruszające umysły ówczesne. Zwłaszcza zaś sprawy polityczne, wynikię z podziału Polski, były w swoim czasie główną osią, dokoła której obracały się dysputy. Stąd drzewo to, przezwane „l'arbre de Cracovie“, znane było daleko poza granicami Francji, jako punkt zborny wszystkich przewódców opozycji. W owym czasie, przy każdym niemal ważniejszym wypadku, pytano: „Qu'en dira l'arbre de Cracovie“?, co innemi słowy znaczyło: „co też powie o tem opinia publiczna“?. I w istocie, względ na to, co powie „drzewo krakowskie“, wpłynął nieraz na decyzje rządu francuskiego. Z tych również czasów datuje założona przez Buffona w Jardin des Plantes wspaniała alea kasztanów, stanowiąca dziś jeszcze ozdobę tego parku.

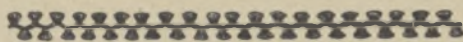
Lecz skąd się wziął kasztanowiec u nas? Pamiętam, jak niegdyś pierwszy mój nauczyciel botaniki objaśniał nam w 2-iej klasie, że pierwszy egzemplarz kasztanowca zasadzony był pod Krakowem, drugi—w Wilanowie i kazał nam to pamiętać. W późniejszym czasie przewertowałem całą polską literaturę botaniczną, ale nie mogę dociec, skąd te dane zostały zaczerpnięte. Wydają się one prawdopodobne; kasztanowiec, którego pierwszy obszerniejszy opis podał u nas Kluk, przybył do kraju naszego niewątpliwie z południa, najprawdopodobniej z Wiednia, lecz kiedy i przez kogo został sprowadzony? Czyżby przez Sobieskiego, jak topola włoska, której pierwszy egzemplarz istotnie król ten sprowadził i zasadził pod Wilanowem. Pewnem zdaje się być tylko, iż w początkach XVIII stulecia kasztanowce w Wilanowie już rosły, w końcu zaś tegoż wieku, gdy ogród Saski w Warszawie stał się własnością rządową i poczynął nabierać charakteru ogrodu publicznego,



posiadał on już liczne egzemplarze tego drzewa, tworzącego dziś w nim tak cieniste aleje. Stwierdzenie historii kasztanowca u nas byłoby rzeczą bardzo pożądaną. Nie mamy bowiem dotąd, jak widzimy, żadnych pewnych

danych o tem pięknem drzewie, które długo jeszcze stanowić będzie najpoważniejszą ozdobę naszych ogrodów, wywołując tęsknie wspomnienia o czasach dawno minionych.

M. Heilpern.



Lawiny w Tatrach.

Tatry, jedyny górotwór polski o charakterze alpejskim, odznacza się nietylko krajobrazem odmiennym od innych gór polskich, krajobrazem, który jest wynikiem indywidualnej historii tegoż górotworu,—ale także szeregiem procesów, modelujących dzisiejszy krajobraz, które napotykamy w obrębie Polski właśnie tu tylko. Do tych procesów należy spadanie i zsuwanie się lawin z turni tatrzańskich. Dotychczas niewiele uwagi poświęcano tym gwałtownym ruchom szaty śnieżnej, którą przykrywają się Tatry każdej zimy niby grubym białym płaszczem, mimo, że te ruchy, jak zobaczymy, odgrywają ważną rolę w życiu „martwej“ przyrody tatrzańskiej. Obok nielicznych, okolicznościowych wzmianek o lawinach tatrzańskich w opisach wycieczek zimowych¹⁾, które pod wpływem rozwijającego się sportu zimowego coraz częściej się odbywają, i kilku innych krótkich dat²⁾, rozrzuconych w literaturze naukowej nic dokładniejszego o nich nie wiemy. Badania nad jeziorami tatrzańskimi, które rozpocząłem w letnich miesiącach r. 1909, zawiodły mnie tej zimy dwa razy w Tatry: raz w lutym, drugi raz w kwietniu. Już podczas pierwszej wycieczki zimowej, pracując nad Morskiem Okiem i Czarnym stawem, zdumiony byłem wspaniałością, rozmiarami i znaczną liczbą lawin śnieżnych, spadających wówczas przede wszystkim z grani Mięguszowieckiej. Bez porównania wspanialsze i liczniejsze były natomiast lawiny, które w kwietniu schodziły z wszystkich grzbietów dokoła Morskiego Oka, z pod Miedzianego, z Mięguszowieckich, Rysów i Żabięgo. Wobec faktu, że zjawiska i znaczenia lawin tatrzańskich nie oceniono dotychczas należycie, uważam za swój obowiązek zwrócić na nie uwagę, choć


moje spostrzeżenia, robione niejako ubocznie obok badań jeziornych, mogły być tylko dorywcze.

I.

Furka dowiozła mnie wraz z przyrządami naukowymi tylko do wodogrzmotów Mickiewicza; było to 6 kwietnia 1910; dalsza droga kołowa była wozem nie do przebycia, a to z dwóch powodów: po pierwsze od wodogrzmotów począwszy gruby śnieg pokrył jednolitym płaszczem gościniec, a w tym świeżym po części śniegu droga nie była jeszcze dla sanek wyjeżdżona; po drugie dowiedziałem się, że z pod grzbietu Miedzianego zsunęła się, dwa dni temu, ogromna lawina i zniszczyła na dłuższej przestrzeni gościniec, przykrywając go szerokim i wysokim wałem zbitych śnieżnych brył. Trzeba więc było wziąć przyrządy i zapasy na plecy, drażki żelazne i łopaty na ramiona, narty zawiesić u boku i pieszo przez śnieg brnąć 8 km. w górę. Mój góral Józek, który mi wiernie towarzyszy i pomaga w pracach tatrzańskich, nagle zwraca mi uwagę na ciemną nieregularną linię, która biegnie prawie tylko dla bystrogo oka górala dostrzegalnie, w półkolu poziomo pod grzbietem Miedzianego. Józek przypuszczał, iż to ścieżka wydeptana przez kozice: i istotnie, w tych okolicach dużo widzieliśmy kozic w lutym. Zaraz się jednak domyśliłem znaczenia tej linii, ale milczałem, chcąc się wprzód przekonać. Po godzinie zmużonej drogi zatrzymaliśmy się: przed nami gościniec był przywalony wysokim murem niezliczonych, ogromnych brył śnieżnych. Były one zupełnie nieregularnie ułożone, rozdzielone licznymi i głębokimi dziurami, tak iż przejście przez to morze „głazów“ śnieżnych było bardzo utrudnione. Ciekawość mnie porwała, zmęczony drogą i znużony organizm ocknął się i w jednej chwili wdrapałem się na mur śnieżny 6—8 m. wysoki. Co za wspaniały, a równocześnie groźny widok; dreszcz przebiega, gdy się oko w oko

¹⁾ Ob. nprz. Zaruski M., Przygoda z lawiną pod Polskim Grzebieniem, Pam. Tow. Tatr. 1909, 30, 16—23.

²⁾ Nprz. Coaz.: Die Lawinen der Schweizer Alpen. Bern. 1881; o Tatrach: str. 142/4.



staje wobec gigantycznych zjawisk przyrody! Przedemną morze „głazów,” śnieżnych, zupełnie nieregularnie usypanych, przywalonych, zgruchotanych po części—obraz podobny do rzeki, gdy kry lodowe, pędzące na wiosnę w dół rzeki, stają przed tamą zatorem i piętrzą się w nieładzie. Ta masa śnieżnych brył jest jeszcze pod innym względem podobna do rzeki: tworzy ona tylko względnie wązkie pasmo, jakby język, który z gór, z pod ściany Miedzianego zsuwa się w dół na dno doliny Rybiego potoku. Język ten lawinowy jest 60 m. szeroki, do 8 i 10 m. wysoki (porwał nawet drut telefoniczny przy gościńcu) i do 5—600 m. długi; masa jego wynosi więc przynajmniej 240.000 m.³ zbitego śniegu. Nie dosyć na tem. Język lawinowy rozszerza się coraz bardziej ku górze, aż tuż pod ścianą łączy się jeszcze z dwoma bocznymi językami lawinowymi, które tam od głównej żyły, jak pojedyncze palce od dłoni się odłączyły. Lewy palec (patrząc w kierunku ruchu lawiny) nie jest długi; masa jego, posuwając się, miała zamało energii, by przezwyciężyć silne tarcie ruchomego śniegu o zarośniętą i nie bardzo pochylą powierzchnię stoku dolinnego (spadek zbocza wynosi w tem miejscu około 450 m. na km), wskutek czego wnet się zatrzymała. Natomiast prawy palec lawiny, szeroki 20—25 m., a również 6—8 m. wysoki (masa około 55000 m.³) posunął się prawie tak daleko, jak ramię główne, w poprzek gościńca aż do potoku Rybiego.

Te trzy rzeki śniegu zbitego rozeszły się u stóp wyrwy, stromego rowu, który ku górze podnosi się i rozszerza w stromy lejek dolinny między Halą Gładkiego (1683 m.) i szczytem 2095 m. grzbietu Miedzianego.¹⁾ Lejek ten był tylko w połowie śniegiem zawalony; strona zwrócona ku południowi, ogrzana już wiosennem słońcem, pozbyła się szaty śnieżnej, tak że wyjrzały czarne ściany skaliste, pod którymi uwija się ścieżka z Pięciu Stawów Polskich do Morskiego Oka. Południowa strona lejka, zwrócona ku północy, była jeszcze biała od śniegu; stąd to lawina się urwała ogromnym płatem, który wzdłuż nieregularnie przebiegającej szczeliny oderwał się od reszty płaszczu śnieżnego. Właśnie ta ciemna szczelina stanowiła ową „perć kozic“, którą Józek już zdaleka był dostrzegł. Możemy więc odróżnić miejsce oderwania się lawiny lub też zbiornik lawinowy, drogę lawinową (wązki i stromy rów dolinny), a wreszcie pole nasypów lawinowych na stokach i dnie głównej doliny.

Lawina, którą właśnie opisałem i która w nocy z 3 na 4 kwietnia spadła, nie była jedyną la-

winą o wyż. wspomnianych właściwościach. Stojąc na bryłach tej lawiny, naliczyłem jeszcze 4 inne podobne, choć krótsze, które zeszły różnymi drogami z grzbietu Miedzianego i dwie lawiny, które spuściły się żlebami grzbietu Żabiego. Jedna z tych ostatnich, wpadająca w oko wielkimi rozmiarami, dotarła również do granicy lasów i wcisnęła się jeszcze klinem między drzewa. W czasie bytności przy Morskiem Oku miałem sposobność obserwować lawiny tego typu także w ruchu. Trzy takie lawiny, dwie z pod Miedzianego, jedna z pod Żabiego, zeszły nazajutrz. Po urwaniu się płatu w górnych zbiornikach śniegu (t. j. w lejkach dolinnych), cała masa wcisnęła się w wązki rów potoku, zbiła się tu w gęste bloki wilgotnego i stwardniałego śniegu, a wydobywszy się z ciasnego rowu skalistego na gładkie i bardziej łagodne stoki pod ścianami, rozplynęła się jak rzeka i posunęła się zwartym językiem powoli, spokojnie, ale niepowstrzymana w dół. Zdaleka słychać było szmer, podobny do szmeru potoku, a bloki śniegowe staczały się w dół, jakby fale wody. Śnieg zbity i wilgotny, zabiera po drodze wszystko, co się da poruszyć, więc ziemię i luźne grunty skalne, trawniki i kosodrzewinę. Wszystko to, wpakowane i wmarznęte w śnieg osadza się po stopniowaniu śniegu na miejscu języków lawinowych. Jest to jeden typ lawin, który zauważyłem w Tatrach. Takie lawiny zbite nie schodziły jeszcze w lutym; oczywiście powstają one dopiero przy wyższej ciepłocie powietrza.

Drugi typ lawin, który często obserwować mogłem zarówno w lutym, jak i w kwietniu, jest zupełnie odmienny: różni się od lawin zbitych i materiałem i formą ruchu i wywołanymi przezeń skutkami. Schodzą te lawiny drugiego typu w okolicy Morskiego Oka tylko z pod Mnicha, ze ścian Mięguszowieckich, z pod Rysów i Żabiego Konia, to znaczy tylko tam, gdzie są nadzwyczaj strome, gładkie ściany. Tam wogóle dużo śniegu nagromadzić się nie może, ciężar własny ściąga go wnet po stromych ścianach w głąb. Zbiornik śniegu leży tu zwykle na listwach trochę mniej stromych od reszty ściany a urywająca się stąd masa śniegu zsuwa się z listwy i wylatuje w powietrze, spadając w głąb, jakby „śniegospad“. W tej drodze śnieg niema sposobności zbitcia się w kłęby i bryły: dlatego dostaje się on na dół, jako pył śnieżny, a nie jako „gruz śniegu“. Uderzając o podnóże ściany rozбивa się śnieg w „mgłę“, która unosi się po części nad miejscem uderzenia wysoko, aby dopiero później spaść, podczas gdy reszta śniegu rozlatuje się i usypuje w formie płaskiego, bardzo regularnego stożka białego. Lawina pylna uderza o skałę podnóża, albo czasem po drodze jeszcze o wystające ze ściany no-

¹⁾ Obacz: mapę szczegółową Tatr, wydaną staraniem Tow. Tatr. w podziałce 1 : 25000.

sy skaliste z łoskotem, podobnym do strzału z dział, który budzi w górach grzmiące echo. Ponieważ podobne lawiny schodzą bezustannie przez cały dzień, choć najgęściej i najczęściej popołudniu, więc strzelanie z armat i odgłos rozlega się bez przerwy: odnosi się wrażenie, jak gdyby się przysłuchiwało z daleka ćwiczeniom artylerii. Lawiny te pyłne schodzą bardzo często: p. M. Zaruski naliczył ich, jak mi oświadczył, podczas jednego dnia majowego do 600, a sam dnia 7 kwietnia byłem świadkiem przynajmniej 100 takich lawin. Huk ich był nieustanny i widok spijającej się masy śniegu, która spadała, jak woda rozprószona w wodospadzie z wysokich skał, nadzwyczaj ciekawy.

Jak widzimy, oba typy lawin, t. j. lawiny zbite i lawiny pyłne¹⁾, różnią się zasadniczo pod każdym względem: materiałem pierwszej są bryły wilgotnego śniegu, zbite i ciężkie, drugiej lekkie, ziarniste, suchy śnieg, rozpraszający się w pył i mgły. Ruch lawiny zbitej jest ciągły i nieprzerwany od zbiornika śniegu aż do miejsca osadzania się mas, natomiast ruch lawiny pyłnej jest przerwany: między zbiornikiem a miejscem osadzania śniegów masa śniegu nie posuwa się po powierzchni ziemi, ale spada przez powietrze. Wilgotny śnieg lawiny zbitej porywa dzięki wielkiemu ciśnieniu własnej masy po drodze ziemię, glazy luźne i szatę roślinną i zmienia tym sposobem w znacznym stopniu krajobraz pierwotny, stosunki rozsiedlenia roślin i rozmieszczenia płaszczka zwierzęcych mas; suchy ziarnisty śnieg lawin pylnych nie jest w stanie porwać po drodze ziemi, głązów i krzaków; jest tego materiału zresztą po stromych ścianach o wiele mniej niż w mniej stromych lejkach dolinnych, z których schodzą lawiny zbite. Zbiornikiem lawin zbitych jest lejek dolinny lub wogóle forma mniej stroma zarośnięta zwykle trawnikiem, natomiast zbiornikami lawin pylnych są strome, nagie i skaliste ściany. Można przekonać się, że także warunki ciepłoty i wilgoci powietrza muszą być odmienne, by mogły powstać lawiny zbite lub też pyłne. For-

my, usypane przez lawiny, różnią się również w obu wypadkach: lawiny zbite usypują swe materiały w formie języków o ostrych krawędziach; ich długość jest o wiele większa od szerokości. Natomiast lawiny pyłne wysypują swe śniegi w formie płaskich stożków, rozchodzących się szybko w różnych kierunkach, tak iż nie ma tu ani osi podłużnej ani jednostajnej szerokości nasypu. Łoskot zsuwających się lawin jest odmienny przy lawinach zbitych (szmer, syczenie), niż przy lawinach pylnych (wystrzał, grzmot). Ruch lawiny pyłnej jest nadzwyczaj szybki, tak iż masy spadają w mgnieniu oka; natomiast ruch lawiny zbitej względnie powolny: można go spokojnie śledzić w pojedynczych jego fazach. W odwrotnym stosunku do chyżości tych lawin stoi masa śniegu poruszana przez nie: lawiny pyłne, bardzo częste i bardzo szybkie, obejmują tylko względnie małą masę śniegu; przeciwnie rzadkie względnie i powoli zsuwające się lawiny zbite prowadzą w głąb zawsze o wiele znaczniejsze masy śniegów i ziemi. Ponieważ lawiny zbite mają swoje zbiorniki zwykle w formach dolinnych, więc ich drogi są zazwyczaj stałe: corocznie lawiny zbite urywają się na tych samych miejscach i schodzą temi samymi drogami. Wsuwają się one klinem w lasy i wyrwywają tu zawsze w tem samym miejscu kosodrzewinę i inne drzewa, tak iż już zdaleka poznać można szlaki lawin w lasach. Nie tak stałe są drogi lawin pylnych; małe ich zbiorniki, miedniczki lub listwy, mieszczą się w znacznej liczbie po ścianach, dlatego sieć dróg lawinowych tego typu jest o wiele gęstsza, niż typu lawin zbitych. Mimo to główne drogi lawin pylnych są również zazwyczaj stałe; n. prz. z pod grani Mięgoszowieckiej na tylnej ścianie kotliny Morskiego Oka schodzą lawiny pyłne przeważnie trzema drogami, gdzie predyspozycja orograficzna dla rozwoju lawin jest najkorzystniejsza.

Nie ulega kwestyi, że zjawisko lawin odgrywa w Tatrach, jak już obecnie stwierdzić można, niezmiernie ważną rolę w „gospodarstwie przyrody“: warto więc zastanowić się nad warunkami i znaczeniem lawin w ogóle.

(c. d. n.)

Dr. Ludomir Sawicki.

¹⁾ Nałkowski W. Geografia fizyczna. Warszawa, 1904, str. 223.



Żmudź i Żmudzini.

2)

Sporo jeszcze lasów spotykamy w powiecie szawelskim, mniej w powiecie telszewskim, gdzie z powodu braku i drożyzny drzewa opałowego, coraz więcej wchodzi w użycie torf. Węgla kamiennego na Żmudzi niema, w bogactwa mineralne Żmudź także nie obfituje. Jednak dosyć często się spotyka błotna ruda żelazna, szczególnie w dorzeczu rzeki Dubisy. W miejscowości Podubisie, w powiecie rosieńskim są nawet kąpiele, obfitujące w żelazo i siarkę.

Godne są uwagi na Żmudzi nad Wentą, np. pod Popielanami, pokłady wapienia jurajskiego z charakterystycznymi skamieniałościami ówczesnego świata zwierzęcego.

Z drzew leśnych przeważają: sosna, i świerki; z liściastych drzew spotykamy brzozę, olchę, osinę, rzadziej już dąb, jesion, wiąz, klon, modrzew i grab.

Słynny był niegdyś w powiecie rosieńskim, koło Rosień, w parafii Skawdwilskiej dąb Baublis, średnica którego wynosiła około 10 łokci.

Z drzew owocowych dobry owoc dają żmudzkie jabłonie.

Jarzyny i kartofle sięją i sadzą na Żmudzi na początku maja, sianokos zaczyna się dopiero pod koniec czerwca, żyto żną pod koniec lipca, zbiór owoców ogrodowych następuje pod koniec września. Wogóle dojrzewanie roślinności, w porównaniu z Królestwem Polskim, spóźnione jest o 2—3 tygodni.

Dawniej na Żmudzi były bobry, jelenie, żubry. W powiecie rosieńskim, w parafii szydłowskiej, jest rzeczka Żabra, która w wieku XVI nazywała się „Żiobris upis“, t. j. rzeczka żubrów. Niedźwiedzia, który znajduje się nawet w herbie Żmudzi, obecnie już wcale niema; rzadkim gościem jest nawet wilk. Natomiast są dotąd lisy, borsuki, sarny, zające, głuszce, cietrzewie, kuropatwy, kaczk i t. d.

Z zajęć ludności dotąd dominuje na Żmudzi rolnictwo; przemysł—rozwinęty w bardzo małym

stopniu; handel spoczywa prawie wyłącznie w rękach żydów.

Ludności w trzech przeważnie żmudzkich powiatach: telszewskim, rosieńskim i szawelskim jest 700 tysięcy: samych Żmudzinów—przeszło 400 tysięcy, resztę stanowią: Litwini, Żydzi, Polacy, Rosyanie i Niemcy.

Żmudzini (Żemaitiai) należą do litewskiego plemienia, które od niepamiętnych czasów usadowiło się w szerokim dorzeczu Niemna i które lewym skrzydłem opierało się dawniej aż o dolny bieg Wisły, prawem zaś sięgało dolnej Dźwiny.

Język litewsko-żmudzki należy do rodziny języków europejskich i najwięcej jest zbliżony do języka słowiańskiego, ale zachował dużo form pierwotnych indoeuropejskich, a więc przypomina starożytny język sanskrycki, a także języki klasyczne: łacinę i grekę. I rzeczywiście, odpowiednio dobrany frazes litewski np.: „Tris virai trauk jungą“ (to znaczy: trzech mężowie ciągną jarzmo) zupełnie zbliżony jest do łaciny: „Tres viri trahunt jugum“.

Żmudzini mówią odrębnym narzeczem dolno-litewskim, czyli żmudzkiem. Różnica pomiędzy narzeczem żmudzkiem i ogólnolitewskim jest stosunkowo niewielką; w każdym razie mowa żmudzka posiada swoje odrębne cechy charakterystyczne.

Ważniejsze z nich są następujące: końcówkom litewskim: *cziai*, *dźiai* lub *czei*, *dźei* w narzeczu żmudzkiem odpowiadają końcówki: *tei*, *dei*, a więc, gdy po litewsku mówi się: *medžiai* (drzewo), *jaucžiai* (woły), po żmudzku: *medei*, *jautei*; dalej, litewskiemu dyftongowi *iu*—w narzeczu żmudzkiem odpowiada dyftong *ei*, np.: litewskie *pienas* (mleko) po żmudzku wymawia się—*peinas*; *piemu* (pastuch)—*peimou*; *lietuvis* (litwin)—*leituis*; wreszcie, gdy w przytoczonym wyrazie litewskim *piemu* (pastuch) na końcu słyszymy wyraźnie dyftong *uo*, w narzeczu żmudz-



ŻMUDZINKA.

Mal. K. Moncewiczówna.



DĄB ZE „SMUTKELISEM“ POD WIEKSZNIAMI.

Fot. K. Monceviczówna.

kiem odpowiada mu—*ou*, a więc ten sam wyraz *piemuo* będzie brzmiał po żmudzku: *peimou*.

Poza tem są znaczne różnice w odmianach (deklinacjach) i koniugacjach.

W każdym razie coraz więcej prawo obywatelstwa w literaturze litewskiej współczesnej zdobywa narzecze litewskie, aczkolwiek było kilku autorów litewskich, którzy pisałi i drukowali swoje dzieła w narzeczu żmudzkiem. Rozpowszechnione były zwłaszcza żmudzkie książki do nabożeństwa.

A nawet za ojca duchowego nowoczesnego ruchu literackiego litewskiego wypada uważać właśnie Żmudzina, ks. biskupa żmudzkiego, Macieja Wołonczewskiego (1850—75), autora wielu pożytecznych książeczek ludowych w narzeczu żmudzkiem i między innymi dzieła, p. t. „Biskupstwo żmudzkie“ (Żemėitiu Viskupiste). Poza Wołonczewskim zasługuje na uwagę inny autor żmudzki, szlachcic Szymon Dowkont, rówieśnik i przyjaciel

osobisty ks. Wołonczewskiego, autor dwutomowej historii Litwy.

Wskutek zakazu drukowania litewskich książek czcionkami łacińskimi (w r. 1865-ym za generał-gubernatora wileńskiego Kaufmana), ruch literacki litewski został przeniesiony zagranicę do Prus, gdzie drukowano obok coraz to częstszych wydawnictw w narzeczu litewskim i żmudzkie książki. W wielkiej zwłaszcza ilości drukowano zagranicą kalendarze litewsko-żmudzkie i modlitewniki, bo zwykłym było zjawiskiem, że uboga wiejska dziewczyna chętnie wydawała 2—3 ruble na modlitewnik żmudzki, wydrukowany zagranicą i potajemnie sprowadzony do kraju. Z czasem jednak wśród oświeconych Litwinów i nawet Żmudzinów zaczęło górować narzecze litewskie.

W tem też narzeczu górno-litewskim drukowano przeważnie pierwsze pisma periodyczne litewskie zagranicą, jak np. „Auszra“ (Jutrzenka), od r. 1883; w narzeczu też litewskim zaczęło wychodzić po zniesieniu zakazu drukowania książek litewskich czcionkami łacińskimi w r. 1904, pierwsze krajowe pismo litewskie w Wilnie— „Vilniaus Žinios“ (Wiadomości Wileńskie). Ale i dotąd ogół ludu żmudzkiego nie może się oswoić z drukowaniem słowem w narzeczu litewskim, i wileńskie „Vilniaus Žinios“, narazie chętnie prenumerowane i przez Żmudzinów, straciły dużo wśród nich odbiorców właśnie między



DWOREK W BIRBISZKACH (POW. SZAWELSKI).

Fot. A. Jacynowski.



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



3. NIEMEN POD BALWIERZYSZKAMI.

Ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn. fot. K. Kulwiec.

innemi i wskutek tego, że Żmudzini nie zupełnie rozumieją narzecze litewskie, zwłaszcza gdy autorowie litewscy, dbając o czystość języka, zaczęli rugować z języka literackiego różne obce naleciałości, między innemi polskie, z którymi lud zdążył się już zżyć.


Żmudzini wyróżniają się piękną budową ciała, wzrostu są więcej niż średniego; mężczyzn cechuje wygląd surowy, marsowaty, popisowi często są zaliczani do pułków gwardyi; kobiety—mniej piękne. Szczególnie dorodny jest lud bliżej granicy pruskiej, mianowicie w powiecie rosięńskim. Rzecz charakterystyczna, ludność dawniejszych królewskich ziem mieszka więcej dostatnio i jest piękniejsza.

Uzupełnieniem polskiego przysłowiowego „żmudzki niedźwiedz“ są przezwiska, dawane przez samych Żmudzinów swoim rodakom: „Szauliu buolis“—wół szawelski, „Telsziu plumpis“—kloc

telszewski, „Rasieniu pykta Magda“ — rosięńska zła Magda.

Pod względem temperamentu Żmudzin różni się bardzo już nie tylko od Słowian, a więc od Polaka, Rusina, Rosyanina, ale nawet od najbliższego swego krewniaka Litwina: jest więcej zamknięty w sobie, ponury, uparty, nieraz zaciekły, gburowaty, mało subtelny, zarazem wyjątkowo cierpliwy i wogóle pod względem charakteru jest bardziej zbliżony do Łotysza, aczkolwiek ostatniemu już ustępuje pod względem niepohamowanej zaciekłości i gburowatości. W każdym razie i Żmudzin, podrażniony, rozjuszony, staje się niemal niepo czytalny i nawet proboszczowi swemu w rozmianieniu potrafi powiedzieć: „Pan pójdziesz sobie stąd, my zaś byliśmy tutaj i pozostaniemy“.

Wiadomo, że Żmudzini staczali długie i zaciekle walki z Krzyżakami — nawet po zaprowa-



dzeniu wiary chrześcijańskiej na Litwie i Żmudzi. Wypada przypuszczać, że właśnie walka z Krzyżakami, okrutna, bez pardonu, oprócz wpływu lesistej i błotnistej przyrody Żmudzi, musiała wyrobić w Żmudzinach surowy światopogląd, pewną opryskliwość w stosunkach i niechęć do ludzi.

Niemem, ale zarazem bardzo ciekawem świa-

dectwem długich i uporczywych walk Żmudzinów z Krzyżakami i Kawalerami Mieczowymi (ci ostatni więcej dali się we znaki Łotyszom) są do dzisiaj t. z. „piliai“, „pilkalniai“, t. j. sypane pagórki (pilti—sypać, kalnas—góra),

(c. d. n.)

Ad. Jaczynowski.



Sven Hedin w Tybecie.

Śnieżny i mroźny ranek d. 1 września zapowiedział dzień pełen trudów. Już była karawana ruszyła w drogę z obozowiska Nr. 1; tu bowiem gdzie się wszystkie osady ludzkie kończyły, można było znaczyć etapy jedynie cyframi. Wązki pas czystego nieba na południu zapowiadał wprawdzie pogodę, ale za to tego dnia przejść było trzeba jedną z najwyższych przełęczy Kara-Korum—Czang-lung-jogma, 5,780 m. nad poz. m. której jeszcze nikt z Europejczyków dotąd nie zdołał przekroczyć.

Wejście było istotnie mozolne. Zbocza gór pokryte były miękką i mokrą ziemią, która własnym ciężarem obsuwała się na dół, tworząc głębokie wyrwy i nie dając nogom oporu. Żadnej roślinności, nawet mchu, żadnego życia — naokół martwa, groźna cisza, którą tylko nawoływania przewodników przerywają. Za to kiedy się z pewnym trudem znalazło właściwy dostęp do przełęczy i kiedy się już na grzbiecie wału stanęło — miało się przed sobą widok wart tak ciężkiego mozołu. Na pogodnym lazurze nieba ledwie tylko gdzieniegdzie snują się jasne obłoki. W przejrzystej atmosferze twardo i ostro rysują się kontury gór — bliżej kruczo czarnych, hen daleko na horyzoncie śniegiem pokrytych najwyższych w świecie szczytów — Himalajów.

Pomiędzy najbliższym i najdalszym planem cały bezmiar stopniowań natężenia tonu, zależnie od nachylenia zbocza góry do słońca, mniej lub więcej intensywnego błękitu. U stóp leży dolinka, którą się tylko co z takim trudem przebrnęło — stąd, z góry taka śmiesznie mała, taka godna lekceważenia. Na bezbrzeżnym płaskowzgórzu przewala się wychodząc z pod nóg, jak jakiś potężny żmij — Kara-Korum, a od głównego pnia łańcucha rozbiegają się, jak gałęzie drzewa, doliny, tem głębsze, im dalej położone od szczytu. W ogóle sam grzbiet jest znacznie łagodniejszy, znacznie więcej zaokrąglony, niż podnóża, gdyż ciągle


działanie deszczów, śniegów i wichrów jakby strychuje to wszystko, co się nad zwykły, przeciętny poziom podnosi. Zbliżka ma się wrażenie głębokich bruzd, jakby na świeżo zoranej roli od pluga, ale dalej zacierają się i te różnice i widać już tylko równy, zlekka od szczytu zębaty wał. Dopiero znacznie niżej w wyplukanych przez spadek wód dolinach, linie poziome przekształcają się na pionowe a zbocza gór stają się bardziej urwiste, poszarpane i groźne. Pomimo, że jest 1^o ciepła, chłód i wilgoć aż liżą po kościach. Ludzie zmęczeni i wyczerpani nie mają nawet siły wznosić zwykłych okrzyków z racyi wzięcia szturmem tak trudnego przejścia i niebawem rozpoczyna się schodzenie.

Bloto tutaj i wilgoć, jak z tamtej, południowej strony. Niema wprawdzie jezior ani potoków, ale każde stąpienie pozostawia za sobą dołek, wypełniający się natychmiast mętną wodą, którą wszystko jest przesiąknięte.

Pomimo to na obozowisku Nr. 2, niebyło ani śladu jakiegokolwiek bądź zieleności i po raz pierwszy trzeba było zwierzęta karmić ziarnem, przy czem okazało się, że konie ladackie mają bardzo stanowczy wstręt do kukurydzy, bardzo zaś wyraźnie zaznaczony gust do jęczmienia.

A i na następnym noclegu było toż samo. Zamiast wiszących wprawdzie na zboczach Kara-korum błot, droga szła przez pustynię suchą, pełną pyłu i również bezludną, ale i tutaj, jak tam nie było żadnego śladu roślinności, choćby mchu nędznego bodajby. Do najbliższego jeziora Lightena było jeszcze 10 normalnych dni drogi, a jeżeli wobec żywienia się wyłącznie własnymi zapasami, zmniejszył się ciężar, to za to ubyło i 7 yaków. Tu bowiem po przejściu Kara-korum pożegnała karawanę starszyzna z Pobrangu i Tankse, wracając z powrotem do siebie — do lata. Zatem trzeba było iść marszem bardziej forsownym.

Ale to nie zawsze było tak łatwe, jakby się



mogło na pozór zdawać. 3 września zaczął sypać od rana śnieg tak gęsty, że w jego kłębach zginęła nie droga wprawdzie, bo tu drogi są chyba dla wichrów, ale rzeka, której brzegów miały się trzymać oddzielnie idące części karawany. Po dług map angielskich gdzieś niedaleko stąd powinno było znajdować się małe słone jezioro, ale tymczasem nietylko jezioro, ale nawet śladów idących przodem koni i mułów nie można było dostrzedz. Tak przeszło kilka godzin, tem mniej przyjemnych, że śnieg, tając na ubraniu nasyczał je całe wstrętną wilgocią.

Aż się w końcu zniecka, jak kurtyna w teatrze, rozsunęły ciężkie, sino-fioletowe chmury. Odnaleziono nietylko rzekę, ale nawet dość bujną roślinność na wybrzeżu, a trzy ślady antylop, widoczne na piasku, pozwalały wnioskować, że się gdzieś w pobliżu znajdują obfite pastwiska. Ale że czasu na szukanie nie było, ruszono dalej.

Tu już kraj był coraz bardziej równy i płaski po brzegach tylko na widnokregu grzbieciami gór okolony. Muły trzymały się nieźle, konie trochę gorzej, a że miejsca było aż nadto, więc zamiast gęśiego szła karawana rozstrzelonemi po płaszczynie grupami, z górującym zawsze Mahmudem Izą na przedzie.

Ciężko było tylko dać sobie radę z zagradzającymi drogę strumieniami, które, idąc wciąż brzegiem rzeki, spotykało się na swej drodze. Czasem konie na ich bagnistych brzegach lgnęły po brzuchy, czasem wręcz trzeba było wyrzec się przepawy i iść w górę, szukając brodu.

A i burze, które już teraz dzień w dzień się srożyły, były ciężką do przetrwania chwilą. Już zdaleka widać było czarne, ostro obcięte po bokach obłoki, które gnały z ogromną szybkością. Kilka towarzyszących karawanie kruków zaczynało chrapliwie krakać, jakieś małe nieznane ptaszki latały w przerażeniu dokoła, aż się zwał po krótkiej chwili z wyciem, świstem i niepohamowanym impetem kłęb śniegu, od którego robiło się ciemno, jak w nocy. Jeżeli karawana szła rozdzielona na kilka części, to już drugiej, nie mówiąc o trzeciej partyi, nie było bezmała widać. Zwierzęta przerażone obracały się tyłem do wiatru, przez co jednak kierunek marszu ulegał skrzywieniu i czemu należało zapobiegać usilnie. Ludzie ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, z nasuniętym nisko kapturem idą bez słowa naprzód; od sypiącego się, jak lawina śniegu wszystko namięka, pakunki stają się cięższe, iść coraz trudniej. Potem wszystko nagle gdzieś znika. Wieczorem chłodne światło księżycy leje się na kryształki śniegowe, jak potoki roztopionego srebra; w powietrzu cisza tak martwa, że słyhać, nietylko cykanie chronometru w kieszeni, ale bicie serca leżących u nóg psów.

Do słonego jezioro doszło się dopiero 5 września. Sądząc z jego bagnistych, tarasami podnoszących się brzegów było ono, jak większość słonych wód tybetańskich, w stanie wysychania. W niewielkiej od niego odległości trawa i woda były tak świeże, że się miało chęć skrócić marsz dzienny, tembardziej że jeden z mułów był już zdychający. Ale droga była jeszcze daleka i nie można było ulegać pokusom, zwłaszcza że i tak cały następny dzień trzeba było poświęcić wypoczynkowi. To też muł tyle tylko, że doszedł do miejsca noclegu, i tam rozpoczął — nielicząc konia, który padł w samych początkach, ale musiał chory już wyjść z domu — długą listą ofiar pustyni. Karawana zaczęła topnieć. Z wynajętych na pierwszą część drogi mułów i tak trzeba było na tym noclegu wybrać 6 sztuk co najsłabszych i odesłać je z powrotem do domu, bo nie mogąc nic dźwigać i idąc luzem, daremną tylko były zaważać. A na drugi dzień po wypoczynku znów padł w drodze drugi koń jarkandzki, któremu z litości trzeba było gardło poderznąć, żeby go wilki żywcem nie rozszarpały.

W dodatku na większą mordęgę zwierząt droga tu, choć szeroka i równa, cała była podminowana gniazdami myszy polnych, zawalających się za lada stąpnięciem. Naokół ciągle ta sama martwa płaszczyna nieckowatego kształtu, ograniczona od południa oddalającymi się coraz bardziej szczytami Kara-Korum, od północy grzbieciami Kara-Kasz i Jurun-Kasz. Od czasu do czasu w lekkich, sprężystych susach zabiegają drogę antylopy o wysokich, naksztalt liry wygiętych rogach, chwilę w najwyższym zdumieniu przyglądają się gościom, których pierwszy raz w życiu widzą, potem za zbliżeniem się znikają, jak zjawy.

Poważną trudnością jest połapanie się z przestrzenią w tych monotonnych, bezbrzeżnych pustkach, gdzie nawet luneta niewiele pomaga, i gdzie czerniejący w oddali punkt może być również dobrze częścią karawany, jak wypłukaną przez wody dolinką, gdzie przestrzenie, nie mając niczego, coby im służyło za miarę, są czemś zgoła nieokreślonym, gdzie drogi są równie nieznane, jak granice.

Boć ten szmat kamienistej ziemi niewiadomo nawet dokładnie do kogo należy. Jest li to wschodni Turkiestan chiński, do którego ma się paszport w kieszeni, czy podlegający maharadży z Kaszmiru skraj jego ziemi, czy zakłęty, niedostępny, zakazany Tybet? Mniejsza o to. Narazie kwestyą życia i śmierci jest wytrzymałość zwierząt, źródła wody i świeża pasza; o resztę niech się martwią Anglicy w Simli albo w Londynie. Kiedy się już późną i ciemną nocą strudzone powieki do snu kleiły, lepiej było słuchać cichych dźwięków fletu,

na którym ktoś prawieczne sanskryckie hymny wygrywał, niż łamać sobie głowę nad rzeczami całym w danym wypadku abstrakcyjnymi.

A w dzień, zamiast się martwić zakazami, było o czym myśleć, było czym się kłopotać, kiedy droga była ciężka, piaszczysta, było czym się cieszyć, jeśli się natrafiło wieczorem na bujną trawę, na źródła lub wodę płytko pod powierzchnią ziemi stojącą. Czasem było co podziwiać. Raz na krawędzi dość stromo spadającej wyżyny ukazał się np. przedziwny miraż. Jakby na tafli olbrzymiego jeziora odbijały się jakieś góry olbrzymie, ale woda ta była tak spokojna

i tak przejrzysta, że raczej do gry światła między obłokami podobna, niżli do rzeczywistych wód. A brzegiem tego wodnego roztocza szły jakoby muły z jukami, które w rzeczywistości widoczne były poraz drugi nieco dalej, na wolnej od mirażu przestrzeni.

Niedaleko już stąd leżało niewielkie wprawdzie, ale miłsze oku, niż nieskończone płaszczyny, jezioro Aksaj-czin. Za to za niem ciągnęła się równina jeszcze gładsza, jeszcze równiejsza niż dotąd. Chwilami twarda i pokryta drobnym zwierzem ziemia wyglądała, jakby się po niej jakiś olbrzymi walec do ugniatania szosy przejechał. Wszystko tu—wiatr, wody, powietrze, wysokie góry po brzegach współdziałają takiemu absolutnemu zniewelowaniu gruntu, obniżając pagórki, zasypując wyrwy i rowy. Ludzi, którzyby swą interwencję wnosili, oczywiście nigdzie ani śladu, chyba gdzieś niedługo jakieś kilka kamieni, ułożone nakształt ogniska—może ślad jednego z nielicznych podróżników, którzy te kraje zwiedzali. Czasem tylko zupełnie niespodziewanie pojawiały się kępki trawy, pożółkłej na brzegach cd nocnych przymrozków, na której wiatr jakieś smutne i rozlewne melodye wygwizdywał. Poza to nic, tylko jak okiem zasięgnąć żółty, wypłowiały grunt pustyni, jasne, lazuruwe niebo nad głową i ciemnosine ze śnieżnymi grzbietami wały gór na widnokręgu. Karawana, której główna część szła o godzinę drogi naprzód, nigdzie ani na chwilę w żadnym załamku nie ginie, tylko przez złudzenie optyczne, zdaje się być nieco uniesiona nad ziemią i konie

z długimi jak dromadery nogami płyną zda się w powietrzu.

Wiatr, który wiał prawie ciągle, dodawał też niemało roboty przy rozbijaniu namiotów. Czasem wszyscy ludzie musieli natężyć siły, żeby nie dać wyrwać sobie z rąk płótna, które za każdym sil-

niejszym podmuchem było ich mocno potwarzach, sieczonych i bez tego tumanami grubego piachu. Jakiś nieuleczalny optymistą mógłby się cieszyć chyba tem, że wiatr wieje prawie ciągle z zachodu, zatem w plecy i pcha przez to naprzód; chcąc się zaś przekonać, czy pod wiatr iść byłoby równie łatwo, dość się było



NA PŁASKOWZGÓRZU TYBETAŃSKIM.

obrócić i próbować czas jakiś z trudem się utrzymać na nogach.

13 września zdarzyła się podróżnikom naszym całkiem niemiła przygoda: dziewięć koni, urwawszy się w nocy z uwięzi uciekło z obozu. Na dobitkę śnieg sypał jak z worka. Pięć odnalazł Mahmud Iza z kilkoma Ladakami niebawem, szóstego nad ranem, ale trzech pozostałych szukał napróżno dzień cały i następnej dopiero nocy przysłał posłańca z wiadomością, że koni z powodu burzy śniegowej odnaleźć nie może, ale prosi o ciepłe ubranie i żywność. Niestety posłańiec w powrotnej drodze zabłądził, wobec czego tamci biedacy musieli noc spędzić w ciemnościach o chłdzie i głodzie. W obozie też humor był nienajlepszy, bo nie rozbijając namiotów siedziano za wałem z pak, czekając świtu. Ostatecznie konie się wszystkie znalazły, ale chwile, jakie się przeszło nie należały do najprzyjemniejszych.

Z końmi zresztą nie było żartów. Straszliwy klimat tybetański zaczynał pokazywać na dobre swoje pazury. Temperatura z paru stopni ciepła spadła prawie odrazu na $-18,4^{\circ}$, i już na 15-ym noclegu okazało się, że padło dotychczas 10 koni i 1 muł. Wprawdzie Mahmud Iza pocieszał, że ubyły sztuki najstarsze, a te co zostały będą w stanie przetrzymać trudy podróży, ale to dopiero były początki, toć była dopiero jesień. Co będzie później, kiedy nadejdzie zima, kiedy od mrozu zacznie krew stygnąć w żyłach, kiedy szalone huragany będą trzymały, jak na uwięzi karawanę.

Przytem i donajęte muły i konie trzeba było

puścić z powrotem. Jeszcze się wprowadzie ich czas nie skończył, ale jakże było się upierać przy prawie, kiedy przysli bić czołem i skamleć, żebrząc, żeby ich puszczono do domu. Już im tylko 19 koni zostało, z tych ledwo 8 zupełnie zdrowych, jeśli im padnie lub osłabnie i te 8, będą skazani na nieuchronną śmierć głodową. Nie było więc rady. Razem z nimi poszło z powro-

tem dwóch ostatnich ludzi z eskorty, wziętej w Srinagar i Manuel, który nie mógł się przyzwyczaić do mrozów. A karawana, teraz już zupełnie oczyszczoną, ze wszelkich naleciałości, które do jej składu nie należały i zerwawszy ostatnie nici łączności ze światem—poszła dalej w pustynię.

Działo się to już u brzegów jeziora Lightona. (c. d. n.) *St. Th.*



„Akademicki Klub turystyczny“ we Lwowie.

W dniu 9 maja b. r. odbyło się we Lwowie doroczne walne zgromadzenie Akademickiego Klubu turystycznego. Młode to, gdyż zaledwie czwarty rok istnienia liczące Towarzystwo, ma już poważne zasługi co do rozbudzenia zamiłowania do turystyki; okoliczność bowiem, że w ostatnich kilku latach turystyka wśród kształcącej się we Lwowie młodzieży porobiła ogromne postępy, jest głównie zasługą Klubu.

Za jego też przykładem inne towarzystwa i kluby sportowe wciągnęły w swój program także turystykę, nadto wielu turystów zaczęło samodzielnie przedsięwziąć dalsze i trudniejsze wycieczki w góry, wogóle wzrosło zainteresowanie się krajoznawstwem i zamiłowanie do turystyki—a impuls do tego dała przedewszystkiem działalność Akademickiego Klubu turystycznego.

O stałym rozwoju Akademickiego Klubu turystycznego świadczą następujące cyfry jakie z ostatniego sprawozdania rocznego Klubu za rok 1909 wyjmujemy

Rok	Ilość członków	DOCHÓD	ROZCHÓD	Ilość odbytych wycieczek
		w koronach		
1906	43	161	161	14
1907	158	812	770	43
1908	270	1414	1352	54
1909	294	2299	2047	63

nie liczono tu prywatnie przez członków klubu podejmowanych wycieczek, których zwłaszcza w ostatnim roku była poważna liczba.

W ostatnim roku, 1909 urządził Klub kilka większych wycieczek jak np. do Włoch, Londynu, Szwajcarii, Tyrolu, Królestwa Polskiego i wiele innych.

Szczególniejszą jednak baczność przykładą Klub do poznania własnego kraju, a przedewszystkiem naszych Karpat i nie ma już dziś pasma lub ważniejszego szczytu, gdzieby klubowe wycieczki nie dotarły.

Na uwagę i podniesienie zasługują zwłaszcza wycieczki we wschodnie Gorgany, najdziksze i najnieodstępniejsze pasmo Beskidu, gdzie turysta jest dziś jeszcze „rara avis“.

Na bieżący sezon zapowiedział już Klub cały szereg wycieczek; z zagranicznych należałoby podnieść

wycieczki: do Dalmacyi, w Alpy na Mont Blanc, na Kaukaz, do Czech i inne; z krajowych zaś: wycieczkę w Gorgany Zachodnie, w Marmaroskie Karpaty (szczyt Farcaul 1961 m.), w pasmo Czarnohory ze szczytami: Howerla 2058 m., Pop Iwan 2026 m., Pietrosz 2022 m.;—w Gorgany wschodnie, (Bratkowska 1792 m.), w Beskid średni, i wiele innych.

Dzisiejszy swój stan oraz podwaliny dla dalszego trwałego rozwoju w przyszłości zawdzięcza Klub pracy i oddaniu się sprawom towarzystwa swego prezesa d-ra Mieczysława Orłowicza, znanego i zamiłowanego turysty. W uznaniu też tych zasług miało go ostatnie walne zgromadzenie członkiem honorowym Klubu. *W. P.*

□□□□□□□□□□

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Porządek dzienny czwarcowego zebrania miesięcznego (1 czerwca o 8 wieczorem w sali Muz. Przem. i Roln.) Polsk. Tow. Krajozn. w Warszawie zapowiada:

1. Sprawozdanie z działalności Zarządu.
2. „Pamięci E. Orzeszkowej”—I. Kosmowska.
3. „Szlakiem Jagiellły”—M. Wisznicki.
4. Pokaz obrazów z Litwy i Puszczy Białowieskiej—objaśni K. Kulwiec.
5. Pokaz obrazów z Kaźmierza nad Wisłą—objaśni Al. Janowski.

Komisja Wycieczkowa ułożyła następujący plan wycieczki, odbyć się mającej w końcu czerwca na Litwę i do Puszczy Białowieskiej.

Wyjazd z Warszawy w sobotę d. 25 czerwca pociągami wieczornymi o godzinie 9 m. 3 z dworca Petersburskiego; do Kowna przyjazd d. 26 o godzinie 12 m. 40. W Kownie zwiedzenie muzeum miejskiego, doliny Mickiewicza, Aleksoty, Piotrówki i góry Napoleońskiej.

Wyjazd z Kowna do Wilna d. 27 o godzinie 11 m. 13 rano, przyjazd do Wilna o 2 m. 12 po południu. Zwiedzanie zbiorów muzealnych, zabytków sztuki i okolic (Werki).

Wyjazd z Wilna d. 29 o godzinie 8 m. 50 rano, przyjazd do Grodna o 12 m. 48 w południe. Zwiedzanie miasta.

Wyjazd z Grodna o 12 m. 30 w nocy d. 30 i przyjazd przez Białystok i Bielsk do Białowieży o godzinie 6 m. 3 rano.

Pobyt w Puszczy Białowieskiej w ciągu dwóch dni; odjazd w powrotną drogę do Warszawy z Hajnówki o godzinie 2 m. 9 w nocy d. 2 lipca przez Siedce. Przybycie do Warszawy d. 2 lipca o godzinie 11 m. 20 rano.

Osoby nie życzące sobie jechać do Puszczy Białowieskiej wrócić mogą do Warszawy wprost z Grodna dnia 30 czerwca o godzinie 8 m. 8 rano.

Natomiast osoby, nie biorące udziału w wycieczce Kowno—Wilno—Grodno a zapisujące się na wycieczkę do Puszczy Białowieskiej, przybyć muszą do Białegostoku na ten sam pociąg, którym wycieczka odjeżdża przez Bielsk do Białowieży, mianowicie na g. 2 m. 41 w nocy dnia 30 czerwca.

Ceny biletów na wycieczkę tę ustalono następujące:

	Na wyc. Białowieską	Na wyc. Litewską	Na wyc. Litewsko-Białowieską
	Rb. k.	Rb. k.	Rb. k.
Dla członków P. T. K.	10.—	15.—	20.—
„ wprowadzonych gości	12.—	18.—	23.—
„ młodzieży	7.—	13.—	16.—

Na rachunek opłaty za nabyty bilet pokryte będą koszta przejazdów i noclegi.

Zapisywać się można do udziału w wycieczce w kancelaryi Towarzystwa od 1 do 15 czerwca. Ilość uczestników ograniczona. Kierownictwo obejmuje p. K. Kulwiec.

15 i 16 maja r. b., odbyła się wycieczka z Warszawy do źródeł Warty i Pilicy. Wyjazd z Warszawy nastąpił 14 maja o północy do Zawiercia; przyjeżdżających spotkali delegaci Resursy miejscowej pp. Przybrowski i Izaak. W resursie przyjmowano gości śniadaniem, a obowiązki gospodarzy pełnili pp. dyrektorowie Ginsberg i Szymański. Po śniadaniu ruszono wozami do huty Hulczyńskiego, gdzie powitała wycieczkę orkiestra fabryczna, a dyrektor p. Wolff zorganizował zwiedzanie huty grupami. Z huty udano się do cementowni „Ogrodzieniec”. Tam dyrektor p. Budny oprowadził wycieczkę po fabryce, a po jej zwiedzeniu ruszono wozami do Ogrodzieńca. Na moście na Czarnej Przemyszy mieszczące ogrodzenie pod bramą z zieleni przyjmowali wycieczkę chlebem i solą, a orkiestra miejscowa prowadziła ją przez całe miasto do kościoła. Tam miejscowy ks. proboszcz pokropił przybyłych wodą święconą i zaintonował „Pod Twoją Obronę”. Następnie orkiestra odprowadziła gości do granic miasta. W ruinach wspaniałego zamku Ogrodzieńskiego historię jego opowiedział p. Al. Janowski, poczem udano się do Pilicy. Na zamku pilickim udzielili serdecznej gościnności wycieczce właściciele dóbr pilickich pp. Kazimierzostwo Arkuszewscy. Kolacja, nocleg i śniadanie dla 80 osób były przygotowane z taką serdeczną gościnnością i taką świetną organizacją, że wprawiły w zachwyt uczestników wycieczki i szczerze w nich

wzbudziły uznanie dla niezwykle uprzejmości gospodarstwa. W poniedziałek rano zwiedzano źródła Pilicy, ruiny zamku w Smoleniu, poczem, pożegnawszy uprzejmych gospodarzy, udano się do Kromołowa do źródeł Warty a krótko tu bawiąc, zawrócono do Zawiercia, gdzie w Resursie czekano z podwieczorkiem, po którym ruszono, aby zwiedzić: niezwykle ciekawe i wartościowe zbiory entomologiczne p. Izaaka, wzorową szkołę fabryczną, która kształci 1800 dzieci i dom ludowy. O 5¹/₂ popołudniu przypięto wagon wycieczki do pociągu, który o godz. 12 m. 50 stanął w Warszawie. Przewodnikiem wycieczki był p. Al. Janowski. Na uczestnikach wycieczki głębokie zrobiły wrażenie: piękna natura, arcydzieła architektury, stan przemysłu i niezwykle gościnność i uprzejmość, jakiej wycieczka na każdym kroku doznawała.

22 maja r. b., odbyła się wycieczka do Czerwińska. W chłodny ale jasny i słoneczny dzień 420 osób udało się dwoma statkami do Opactwa w Czerwińsku. Tam p. Kazimierz Rakowiecki udzielał objaśnień, dotyczących architektury tego cennego zabytku budowlanego. Następnie uprzejmy proboszcz miejscowy ks. kanonik Gruberski pokazywał zgromadzonym pamiątki ze skarbcza oraz sale klasztorne. W powrotnej drodze wylądowano na pół godziny na prawym brzegu Wisły w Smoszewie, a wieczorem zachwycono się malowniczymi efektami zachodu słońca i wschodu księżycy. Obserwowano też komety Halleya. Przyjazd do Warszawy nastąpił o godz. 11. Powodzenie wycieczki było zupełne. Przewodnikiem był p. K. Rakowiecki.

Przez 3 dni: 17, 18 i 19 maja r. b. bawiła w Warszawie wycieczka szkoły z Zawiercia. Komisja wycieczkowa wystarała się o pozwolenie na zwiedzenie filtrów, a p. Al. Janowski oprowadził 40 osób tej wycieczki po Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, dzielnicy staromiejskiej, Powązkach i Wystawie w Zachęcie. Przed odjazdem do Zawiercia młodych gości przyjmowało podwieczorkiem Polskie Tow. Krajoznawcze w swoim lokalu.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. — Maryna z Hrubego. (Na Skalnem Podhalu). — Warszawa, 1910. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Rb. 1.80

Po czterech seryach nieporównanych nowel tatrzańskich „Na Skalnem Podhalu” pokusił się poeta o przedstawienie tego samego tematu na szerszym tle powieściowym z podkładem historycznym. Za treść służą niefortunne zaloty Kostki Napierskiego do Beaty Herburtówny, ale że Kostkę już w połowie powieści na Krzemionkach na pal wbiłi, resztę książki dopełniają niedość ściśle ze sobą powiązane sceny ucieczki Beaty w góry, pomsta, którą szlachta bierze na chłopstwo, amory wreszcie tytułowej bohaterki Maryny z Hrubego z młodym wojewodźcem Sieniawskim. Niewiele jest w tem wszystkim prawidłowo zbudowanej fabuły powieściowej; nie o wiele też więcej poczucia przeszłości dziejowej, ani, co gorsza, poczucia wewnętrznej treści scen

i działań zbiorowych. Ale trudno się o to prawować wobec długiego szeregu hojną rzuconych ręką fragmentów z życia górali, wobec przepięknego wyjścia juhasów w hale, wobec nadzwyczajnej poprostu sceny wyniesienia dogorywającej po ataku paralitycznym matki Maryny do lasu, żeby już nie ciążyła dzieciom, wobec kończącego tom wesełiska, na którym rozpętane żywiołowo życie wre, kipi i przewala się, jak spadające po strumem zbocz górz piany wód. Jeszcze raz jak w serjach poprzednich, Tetmajer okazał się tu mistrzem, z którym w tej dziedzinie mało kto mógłby się mierzyć, jeszcze raz świeżość, bujność i czar tego nawpół dzikiego życia porywa nas za sobą tak silnie, że słabą ze stanowiska suchych kanonów estetycznych powieść, czyta się jednym tchem, przebiegając od fragmentu do fragmentu, jakby się brało w rękę jedną za drugą perły najczystszej wody. Trudno zresztą nawet ustalić, co tu większą gra rolę: rozkosze czysto estetycznej natury, czy radość, podziw, zdumienie, jakie się odczuwa, widząc tak do najtajniejszej głębi odkryte jakieś nowe, do niedawna źle znane lub wcale nieznanne pokłady życia, które kiedyś płynęło wspólnem korytem razem z życiem całej Polski, a które dziś tak znacznie od niego odbiegło czy pozostało w tyle.

To pewna, że bez „Skalnego Podhala” życie wewnętrzne Tatr, nawet pomimo również świetnego i głębokiego Witkiewicza, pozostałoby dla ogółu częściowo tylko odcyfrowaną zagadką, na czem beletrystyka nasza straciłaby niemniej, niż ludoznawstwo. *T ł.*

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

+ Od dwóch lat już wychodzi w Wilnie czasopismo miesięczne dla młodzieży polskiej p. n. *Pobudka*. Ma ono na celu budzenie myśli polskiej wśród młodzieży, wkraczającej dopiero w życie, a już często za trutej obcymi, nawet wrogimi jej pierwiastkami umysłowymi. Przynać trzeba, że w miarę swych skromnych sił i środków *Pobudka* bardzo dobrze spełnia swe zadanie. Prawdziwą ozdobę ostatnich zeszytów tego czasopisma jest piękne studium (bodaj ostatnia praca) zmarłej świeżo znakomitej powieściopisarki i obywatelki Elizy Orzeszkowej: „O Janie Kochanowskim”. Poza tem znajdujemy w *Pobudce* nieco próbek literackich młodych sił pisarskich i trochę związanych z życiem młodzieży wileńskiej komunikatów. Najciekawsze jednak niezawodnie są korespondencje z rozmaitych większych i mniejszych miast szkolnych, obrazujące nastroje i aspiracje, jakie panują w danem środowisku. Bardzo zajmująco prowadzona kronika daje w końcu możliwie zupełny obraz życia kształcącej się po całym świecie młodzieży polskiej ze wszystkich dzielnic. Zapoznanie się z *Pobudką* zalecić możemy wszystkim, interesującym się życiem naszej młodzieży.

+ Nadesłano nam zapowiedź podjętego staraniem *Kuryera Litewskiego* w Wilnie wydawnictwa „Dziejów porozbiorowych Litwy i Rusi”. Będzie to pierwsze w literaturze naszej dzieło, obrazujące w możliwie peł-

nym zarysie nasze dzieje nowoczesne w tych krajach. O ile wnosić można z zapowiedzi prospektowej, zamierzone wydawnictwo odpowie godnie swemu zadaniu. Opracowania „Dziejów” podjął się młody historyk, p. Henryk Mościcki, znany już zaszczytnie ze swych prac nad dziejami Litwy w dobie nowożytnej. Przedmowę do wydawnictwa napisać ma znany uczoney. badacz życia i czasów ministra Lubeckiego, prof. Stanisław Smolka. „Dzieje” stanowiąc mają wielką księgę z mnóstwem wspaniałych ilustracji. Ukazywać się one będą zeszytami 2-arkuszowymi w odstępach mniej więcej dwutygodniowych. Prenumerować je będzie można we wszystkich księgarniach.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ Wystawa przyrodnicza w Łodzi. W dn. 9 kwietnia b. r. otwarta została w Łodzi wystawa przyrodnicza na dochód „Gniazda” (Tow. opieki nad dziećmi).

Na wystawę złożyły się przeważnie zbiory szkolne „handłówek” łódzkiej, zgierskiej i pabianickiej, pensyi pp. Zbijewskiej i Siennickiej, jak również zbiory Tow. naukowego pabianickiego oraz świeżo zorganizowanego Towarzystwa łódzkiego entomologów.

W oszklonych szafach umieszczono przedstawicieli fauny różnych stref geograficznych.—w gablotach okazy przyrody martwej. (piękne kolekcje mineralogiczne i geologiczne). Groźne zwierzęta, barwne ptaki oraz lśniące motyle przykuwają wzrok zwiedzających, walcząc o palmę pierwszeństwa. Ogólne zaciekawienie budzą preparaty anatomiczne i biologiczne, jak również kolekcje, ilustrujące zjawisko naśladownictwa (mimikry) i przystosowania ochronnego, kolekcje jaj ptasich (wł. prywatna),—w akwariach i terraryach ryby, gady i płazy w normalnych warunkach otoczenia.

Świat roślinny ma również przedstawicieli. Demonstrują tu kiełkowanie roślin i wzrost ich, oraz zależność od światła. Hodowla bakteryi odbywa się w gabinecie bakteriologicznym pod kierunkiem specjalisty.

W godzinach wieczornych odbywają się na wystawie dla mas robotniczych oraz młodzieży szkolnej pogadanki, przez miejscowych lekarzy i nauczycieli-przyrodników na różne tematy wygłaszane.

Wystawa przyrodnicza w Łodzi budzi podziw nie ilością zgromadzonych okazów, nie bogactwem ich, lecz aktem wspólnej pracy,—ideą zrzeszenia,—która zgromadziła ludzi pokrewnych duchem i dowiodła, że w tym grodzie, gdzie przerabiają bawelnę na złoto, nie wszystkich oślepiła blask złotej cielca.

+ Na skutek odezwy komitetu istniejącego przy ministerium komunikacji do spraw budowy nowych kolei w państwie, ministerium skarbu w zasadzie zgodziło się na prośbę Lebediewa, który prosił o pozwolenie utworzenia akc. Tow. budowy kolei Chełmskiej, z tem jednakże zastrzeżeniem, że przedtem zgodę swoją wyrazi ministerium wojny. Projekt kolei popierały jest przez sfery reakcyjne, które liczą na to, że nowo

